



## ELIZA ORZESZKOWA

Ubyła nam jedna z przodownic, co przez długie, długie lata szła w pierwszym szeregu. Zagasty jasne, mądrze i daleko widzące oczy; ucichło serce, co umiało bić w potrzebie jak dzwon; zawarły się usta, które nigdy fałszowi hołdu nie dały.

Kim była w literaturze polskiej, próżnemby było mówić. Od nizin do szczytów niema prócz zupełnych analfabetów człowieka, któryby przedziwnego czaru Jejstów w sobie nie chłonał, któryby stworzonych przez Nią postaci za żywe, za blizkie sobie nie uważał.

To też sława Jej wyszła oddawna poza progi domowe. A jeśli imię polskie w poniewierkę nie poszło, jeżeli w rodzinie ludów europejskich przynależne sobie zaj-

muje miejsce, niemała w tem i Jej także zasługa, jednego z najświetniejszych kwiatów na polu piśmiennictwa polskiego, gdzie tyle przecie już innych świetnych rośło i rośnie.

Ale są w Jej twórczości momenty, których wartość stoi wyżej ponad podziw, jaki się składa w uznaniu potędze i przepychowii słowa. Bojownicą była—nietylko pisarką, może nawet więcej bojownicą, niż pisarką. Nie tą, która w zapale walki niszczy i tami, jeno tą, która wytrwale i cicho idzie wciąż naprzód, choć stopy krwią ociekają, choć przybladły ostatnie gwiazdy nadziei. Bez skazy była i bez strachu, jedna

z tych co niekoniecznie zwyciężają, ale które nigdy nie schodzą z szanca.



# W Otwocku.

(Dokończenie).

„Grand dessein“ został dokonany pod laską Augustowego wnuka. Nie padł on w progę, jak cnotliwy Rejtan z wybuchem protestu, z okrzykiem zgrozy. Nie, on funkcję marszałkowską spełnił do końca, nie cisnął swej władnej laski, nie zerwał ohydneho sejmku, położył swój marszałkowski podpis pod aktem ohydy i gwałtu. Duch Augusta Mocnego cieszył się swoją krwią, kochanym wnuczkim z lewej ręki, tak realizującym skryte pomysły swego z lewej ręki królewskiego dziada.

W tej rodzinie splamionej i ciemnej, jak jasny kryształ lśni i błyszczą drugi brat, Franciszek, domator wprawdzie, cicho robiący grosz w otwockim zamku, chociaż huczy konfederacja radomska i barska w kraju, chociaż padł grom grodzieńskiego sejmku. Pan starosta osiecki i czerski skupuje i sprzedaje z zyskiem starostwa, wójtostwa, klucze i folwarki. W 17 roku uznany już za pełnoletniego, w 23 jedzie młody Franciszek do Paryża, by zawiadomić dwór wersalski o śmierci Augusta III, jedzie, jako wybitna jednostka z młodzieży polskiej „praestatissimus adolescens“.

Wykwintny młodzian po powrocie do kraju ożenił się z księżniczką Krystyną Sanguszkówną, której matka do edukacji swoich synów sprowadziła z Francji wybitnego pedagoga, Cezara Pyrrusa de Varille. Wielka dama książęcego rodu, wychowana na francuskich wzorach, ukryła się w zaciszu otwockiego pałacu ze szczęśliwym małżonkiem, który prawie przez 10 lat żadnego już nie brał udziału w życiu publicznym. Rodzina starosty zwiększyła się do sześciorga dzieci, a że właśnie zniesiono zakon jezuitów i ustanowiono Komisję Edukacyjną, Bieliński postanowił przed nią wyłożyć swoje poglądy na wychowanie publiczne i napisał 15 listów p. t. „Sposób Edukacji w XV listach opisany, które do Komisji Edukacji Narodowej od bezimiennego autora były przesyłane“. Listy Bielińskiego zostały wydrukowane w 1773 r. w Wiadomościach Warszawskich i w Monitorze i stały się podwaliną poglądów na pedagogikę w Polsce.

Sam autor zaznacza, że jest domatorem, który pilnuje gospodarstwa, nie publiki, że jednak przy rolniczych zabawach, powinności swojej służenia pożytecznie ojczyźnie nie zapominał. Wykształcony na klasycyzmie, czytany jednak w encyklopedystach francuskich, godził ich nowatorskie prądy z Tomaszem z Akwinu, Laktancuszem i z innymi pisarzami kościoła, biorąc od każdego z nich, co było najlepszego. Co do pojęć politycznych, zastrzega się, „że nie należy do tych ślepych czcicieli starożytności, którzy z uwielbieniem patrzą na każde dzieło przodków“, woła więc o podniesienie rzemiosł i handlu, żąda oświaty wieśniaków, chociaż jednocześnie równouprawnienie stanów uważa za chimere polityczną. We wstępie swej pracy krytykuje Bieliński ówczesną edukację, że w nauce „o wychowaniu obywatela zapomina“, co wywołuje przedajność sumienia i przekładanie prywatnego zysku nad publiczną szczęśliwość. Młódź nasza, ćwicząc się lat kilkanaście w łacińskim języku, częstokroć własnego nie umie. Oburza go odsuwanie od oświaty kobiet. „Ten, któryby odłączał kobiety od edukacji publicznej, chyba ze wschodnich krajów zabiłakany w nasze przyszedłszy strony, chciałby zerwać te związki, które-

mi natura, społeczeństwo i wszelkie prawa łączą w każdym stanie oboją pleć do wspólnych prac i obowiązków“. Bieliński zbija pogląd, że cztery akademie na kraj są dostateczne, pisze, że „publiczna nauka powinna być dla uczących się jaknajmniej kosztowna, musi więc szkół być dużo, aby każdy miał do nich blisko“. Wykształcenie początkowe nazywa Bieliński zabawą „bakalarza z młodym“. Nie chce autor, aby religia dla dzieci była klepaniem na pamięć krótkiego katechizmu, lecz aby była nauką stosowania etyki w życiu. Żąda, aby chłopu było wykładano w szkole o gatunkach roli, o pomnożeniu urodzaju, żąda dla nich elementarnej fizyki i geometrii. Mieszcząństwu ciemnemu, gdzie „sędziowie, ferując wyroki, krzyżykiem je podpisują“, oprócz ogólnego wykształcenia, win-



Z POD OTWOCKA.

Fot. Al. Janowski.



MARSZAŁEK FRANCISZEK BIELIŃSKI.

ność i inne potrzeby opatrzone były". W tym liście obszernie też omówiona jest sprawa podręczników polskich do wszystkich nauk. Wreszcie w ostatnim liście zamyka Bieliński cały swój plan wychowania wyrazami uznania dla Komisji Edukacyjnej, mogącej być przedmiotem zazdrości innych narodów. Jak Skarga proroczym duchem rzucał słowa płomienne przed sejmujące stany, tak ten domator z Otwocka z rozumem woła do serca: „niech ustanie wzgarda szlachty względem mieszczan, niech ustanie owo uciążliwe jarzmo niewoli, które na barki naszych poddanych włączamy. Wszakci to są ludzie, jako i my, a co więcej, teź ojczyzny synowie. Wskreszajmy w naszej młodzieży przymioty właściwe Polakom, owo dziadów i naddiadów naszych gorliwe do Ojczyzny przywiązanie, owe męstwa prawdziwego zadatki, owe przeciw nieprzyjaciolom odważne dzieła”.

Tak oto pisał dziedzic otwocki 137 lat temu. Pisma jego gorąco rozwijała Komisja Edukacyjna, miały one wielki wpływ na nastrój umysłów w kraju, torowały drogę wielkiej karcie majowej. Wszakże i w nim płynęła krew po saskim dziadzie, a jednak tyle zalet umysłu i serca otacza jasną aureolą głowę tego myśliciela polskiego, że z pomroki wieków promienieje ona zorzą zmártwychwstania. 137 lat upłynęło, a jednak wiele marzeń starosty dotychczas jeszcze nie przyoblekły się w rzeczywistość. Dotychczas rolnik nie wie „co pomnaża urodzaj i kiedy żywioły są pożyteczne, a kiedy szkodliwe”. Dotychczas mieszczanin dawny tryb życia pędzi; „w dzień za pługiem chodzi, a wieczór pod szynkownianą wiechą kolejne zapija kreski”; ani prawa, ani niemieckiego języka nie uczył go dotychczas. I wychowanie kobiet jeszcze nie stoi tak, jak marzono o tem w pałacu otwockim. Duchy Bielińskiego i członków Komisji Edukacyjnej z bólem i zgrozą patrzą, na co zmieniły się ich marzenia i mądre plany. Ale świeci nad krajem zorza wspomnień tych wielkich myśli, a promienie tej zorzy rozjaśniają bezgraniczną ciemnię posępnej nocy późniejszej.

*Al. Janowski.*

no być wykładane prawo cywilne i język niemiecki.

Szlachcic polski w trzech winien rozwijać się kierunkach: jako człowiek, jako obywatel, jako prawodawca. Jako człowiek winien być umieć szczęśliwym, jako obywatel — pożytecznym ojczyźnie, jako prawodawca — mądrym politykiem, sprawiedliwym sędzią. Silny nacisk kładzie autor na naukę języków, których dziecko powinno się uczyć trzech: łaciny, jako języka klasycznego, niemieckiego, dla pożytku własnego handlu z sąsiadami, a francuskiego, bo stał się językiem uniwersalnym i wszystkie książki w tym języku znaleźć można. W geografii radzi wszystko pokazywać na rysunkach, a więc globus, mapy, widoki miast, stroje narodów, bo w ten sposób uczeń „w ćwierć roku bez tęsknoty i prawie jak zabawkę całą geografiją przebiegnie”. Fizykę i matematykę zaleca gorąco, a nadto radzi, aby chwile rekreacyjne wypełnić ćwiczeniami wojskowemi, gdyż „każdy obywatel winien być swęj ojczyzny obrońcą”.

Panowanie nad obyczajami narodu przypisuje Bieliński kobiecie i dlatego gorąco żąda troskliwego jej wychowania i wykształcenia. „Chcąc, ażeby dobre obyczaje kwitnęły w kraju, potrzeba starać się zaszczerpić je w sercach młodych panien”. Cały list czternasty poświęcony jest urządzeniu gimnazyów nauczycielskich: „powinno być w kraju naszym kilka miejsc, w którychby nietylko nauka sposobianym się do stanu nauczycielskiego kosztem publicznym była udzielana, ale nadto żyw-

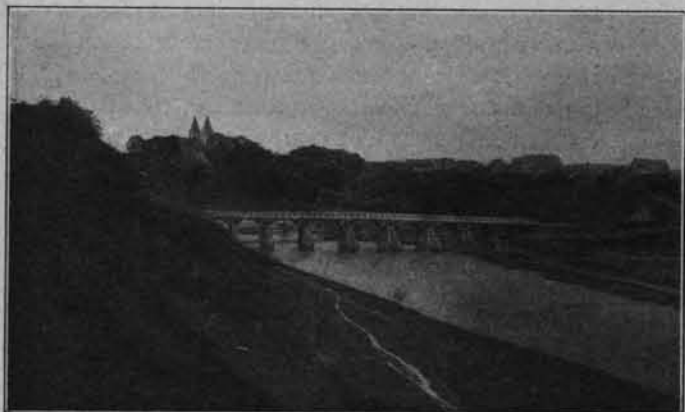


Z WYCIEZKI POL. TOW. KRAJOZNAWCZEGO DO OTWOCKA W 1909 R.

*Fot. K. Kutwicz.*

# Żmudź i Żmudzini.

1)



WENTA POD POPIELANAMI.

Fot. K. Kulwiec.

*„Tam nie błyszczą pyszne gmachy.  
Ale za to duże chaty  
I wysokie, dobre dachy;  
Lud dorodny i bogaty;  
Ponad drogą krzyżów pełno  
I kapliczek tuż przy domu;  
Lud odziany szarą wełną,  
Pełen serca, pełen sromu  
I zażywny i nie marny,  
Pracowity, gospodarny  
I poważny i nabożny...“*

(Wyjątek z „Pieśni o ziemi“ Wincentego Pola).

Żmudź (Żemaitia) zajmuje północno-zachodni skrawek Litwy, przylegający (około Połagi, nad granicą pruską) do morza Bałtyckiego.

Trzy zachodnie powiaty obecnej gubernii kowieńskiej, położone bliżej morza: cały powiat telszewski, znaczna część powiatu rosieńskiego i większa też część powiatu szawelskiego składają się właśnie na kraj żmudzki, szeroki i długi mniej więcej 120 wiorst.

Nazwa Żmudzi (Żemaitia) pochodzi od wyrazu litewskiego: „zeme“—ziemia, „żemai“—nizko, a więc Żmudź oznacza krainę nizko położoną. I rzeczywiście, w porównaniu z właściwą Litwą koło Kowna, Wilna, Grodna, Żmudź jest krajem, znacznie niżej położonym nad poziomem morza Bałtyckiego, aniżeli Wilno, aniżeli Mińsk litewski. Szczególnie zachodnia część Żmudzi, bliżej morza, jest krajem najzupełniej nizinowym. A jednak powierzchnia kraju żmudzkiego, szczególnie w części środkowej jest bardzo urozmaicona, a to przez ciągnący się przez środek Żmudzi, z północy na południe, łańcuch niedużych wyniosłości.

Jedna z bocznych wyniosłości żmudzkich, w kierunku zachodnim, dochodzi do samego morza Bałtyckiego i kończy się historycznym pagórkim Biruty pod Połagą.

Do większych wyniosłości głównego łańcucha żmudzkiego należą: Medwigoła, 766 stóp wysoka nad poziom morza (około Kołtynian, w powiecie rosieńskim), Łapajcie, 687 stóp wysokości (około Twer, w powiecie telszewskim), Szatrya (około Łuknik, w powiecie szawelskim) i Gierniki (około Kurtowian, także w powiecie szawelskim).

Szczególnie piękne są okolice pomiędzy Telszami i Żoranami; noszą one nawet nazwę Żmudzkiej Szwajcaryi; piękne są także brzegi rzeki Dubisy, w północnej części powiatu rosieńskiego, a także brzegi rzek: Minii, Wenty, Wyrwity.

Największa rzeka na Żmudzi, Wenta-Windawa, wpada bezpośrednio, już na północ od Żmudzi w Kurlandyi, do morza Bałtyckiego.

Przed powstaniem listopadowym z roku 1830 rozpoczęto i daleko już posunięto roboty około budowy kanału, który miał połączyć rzeki Windawę-Wentę i Dubisę, dopływ Niemna<sup>1)</sup>. Do dzisiaj widoczne są ślady tych robót. Kanał windawski ożywiłby bardzo żmudzką krainę i skierowałby handel z dorzecza Niemna (którego ujście znajduje się w granicach państwa pruskiego), przez Dubisę i Wentę-Windawę do portu Windawy (w Kurlandyi).

Inne większe rzeki na Żmudzi są: Minia, która także bezpośrednio wpada do morza, Jura (dopływ Niemna), Wyrwita (dopływ Wenty) i inne.

Cały północny pas ziem dawnej Rzeczypospolitej, jak wiadomo, nosi nazwę Pojezierza od znacznej ilości jezior, to też i na Żmudzi znajdujemy ich wielką obfitość: w samym powiecie telszewskim jest około stu jezior: z tych do większych należy jezioro Płotelskie, długości 7 wiorst, szerokości 3, urozmaicone pasmem wzgórz na wschodzie, lasami na zachodzie i kilku lesystemi wysepkami, obfitujące w ryby (sielawy). W tel-

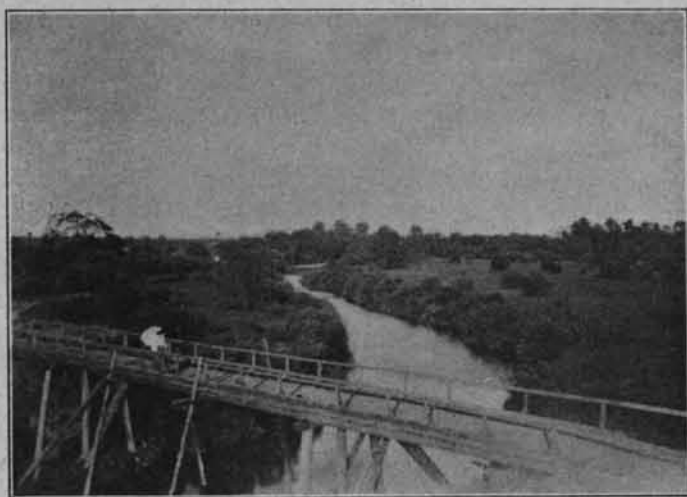
<sup>1)</sup> Patrz „Ziemia“ Nr. 3, art. „Kanał Augustowski“ (przyj. red.)

szewskim też powiecie jest jeszcze większe jezioro Łukszta pod Worniami (Miednikami), dawniejszą rezydencją biskupów żmudzkich, dalej jezioro Telszewskie, tuż koło powiatowego miasta Telsz.

W powiecie rosieńskim jest 56 jezior, z nich większe Gawsztwinis, pod Cytowaniami, długości 3 wiorsty; niebrak ich i w powiecie szawelskim. Błota na Żmudzi znajdują się w powiecie telszewskim—zajmują 1/24 przestrzeni całego powiatu. W powiecie szawelskim, znajdują się t. z. kamany-torfowiska; wreszcie w powiecie rosieńskim błota zajmują dosyć znaczną przestrzeń, mianowicie około 20 tys. morgów.

Ani w powiecie telszewskim, ani w rosieńskim niema dotąd kolei żelaznej; tylko powiat szawelski z południa na północ przerznęty jest przez kolej żelazną libawską. Poza tem większą arterję komunikacyjną na Żmudzi stanowi dotąd szosa rysko taurogieńska, która jednak przed wybudowaniem kolei libawskiej posiadała dużo większe znaczenie. Drogi pocztowe na Żmudzi są dobrze utrzymywane i podróżowanie niemi, ze względu na piękne krajobrazy żmudzkie, sprawia dużo przyjemności i urozmaicenia.

Klimat żmudzki jest umiarkowany, wilgotny. Jesień, a nawet lato zwykle bywają dżdżyste. Dosyć często występują na Żmudzi różne choroby



WIRWITA POD WIEKSZNIAMI.

Fot. A. Jaczynowski.

gorączkowe (nawet tyfus), pozatem wyjątkowo często zdarzają się choroby oczne, szczególnie trachoma.

Do dzisiaj na Żmudzi spotykamy jeszcze znaczne przestrzenie leśne. W połowie ubiegłego wieku, w powiecie rosieńskim, lasy zajmowały jeszcze czwartą część przestrzeni całego powiatu; obecnie szczególnie wielkie lasy znajdują się w dobrach retowskich ksiąząt Ogińskich, na pograniczu powiatów rosieńskiego i telszewskiego; lasy te oceniane są na sumę 5 mil. rubli.

(c. d. n.)

Adam Jaczynowski.

## Ochrona osobliwości przyrody w Szwajcaryi.

Niezwykle szybki rozwój kultury, opanowując stopniowo coraz większe obszary ziemi, niszcząc olbrzymie lasy, regulując rzeki i zamieniając nieprzejrane bagna w uprawne pola, burzy gwałtownie piękno dziewiczej przyrody. Ież to wspaniałych zabytków przyrody, przepięknych krajobrazów, rzadkich roślin i zwierząt, na których powstanie wieki się złożyły, zginęło bezpowrotnie i ciągle ginie, niszczone bez potrzeby, lekkomyślnie. I prawdopodobnie prędzej czy później „zwyczajki ten pochód“ pokryje naszą piękną planetę siecią linii kolejowych i szeregami dymiących kominów, pozostawiając dla miłośników pierwotnej przyrody nieużytki w miejscach odległych, niedostępnych i niezdrowych. W ostatnim dziesiątku lat instytucje naukowe i społeczne rozmaitych narodów, oceniając olbrzymie estetyczne i naukowe znaczenie przyro-

dy, nieskażonej ręką ludzką, przystąpiły do energicznej ochrony zabytków i osobliwości przyrody przed ostateczną jej zagładą. W Anglii, Niemczech, Stanach Zjednoczonych powstały towarzystwa, popierane przez rządy i społeczeństwa, mające na celu ochronę przyrody krajowej, a prawdopodobnie utworzenie międzynarodowego związku ochrony przyrody na całej kuli ziemskiej od bieguna do bieguna jest kwestyą niedalekiej przyszłości.

W Szwajcaryi, gdzie piękno przyrody górskiej jest poważnym źródłem dochodu dla wielu mieszkańców, kierując się nie tylko względami estetycznymi i naukowymi, wcześniej, niż gdzieindziej, poczyniono tu i owdzie pewne starania, zapobiegające stopniowej zagładzie pierwotnej przyrody kraju, szczególnie flory alpejskiej. Przez dłuższy czas nie było jednolitości w działaniu. Dopiero przed



trzema laty szwajcarskie Towarzystwo Przyrodnicze zajęło się bliżej tą sprawą, tworząc specjalną komisję ochrony przyrody (Schweizerische Naturschutzkommission). Komisja ta rozpoczęła swą działalność przez utworzenie we wszystkich kantonach Szwajcaryi podkomisji, z których pomocą przystąpiono do zinwentarowania zabytków i osobliwości godnych ochrony. Do składu każdej podkomisji należą specjaliści uczeni (zoolog, botanik, geolog i archeolog), którzy mają za zadanie: 1) zbierać dane dotyczące zabytków i osobliwości przyrodniczych danego kantonu, 2) doglądać zabytków i osobliwości, znajdujących się pod opieką, 3) uświadamiać ogół (szczególniej młodzież szkolną) przez wygłaszanie odczytów i umieszczanie w pismach artykułów odpowiedniej treści.

Przedewszystkiem zwrócono uwagę na liczne głazy narzutowe, których istnieniu groziło ciągle poważne niebezpieczeństwo; już przedtem Towarzystwo Przyrodnicze Szwajc. zebrało drogą składek 9000 franków na zakupienie sławnego i olbrzymiego głazu „Bloc des Marmettes“ pod Monthey nad Rodanem (kanton Wallis); zaopiekowano się także większą ilością mniejszych głazów, bądź wykupując je, bądź zawierając z właścicielem umowę, zabezpieczającą nienaruszalność okazu.

W drugim roku swej działalności komisja przedsięwzięła energiczne kroki przeciw bezmyślnemu trzebieniu pięknych roślin alpejskich przez handlarzy, turystów i rozmaitych kolekcjonerów. Opracowano projekt ustawy, zabraniającej pod karą pieniężną od 5—100 frank. masowego wrywania, wykopywania z korzeniami i sprzedawania dziko rosnących roślin alpejskich pospolitych i rzadszych. Przygotowano także spisy tych roślin, których zrywanie jest wzbronione; listy takie bywają ogłaszane w pismach, wywieszane w miejscach publicznych, hotelach i zakładach naukowych. Poza tem wydano szereg kart pocztowych z rzadkimi okazami. Ustawę tę przyjęły prawie wszystkie kantony z niewielkimi zmianami i wkrótce prawdopodobnie będzie ona posiadała moc obowiązującą w całym kraju. Ciekawem jest, że w niektórych miejscowościach, naprzykład w kantonie Graubünden, wskutek znacznej autonomii poszczególnych gmin, ustawa ta była poddawana głosowaniu i ludność znaczną większością głosów wypowiedziała się za wprowadzeniem prawnej ochrony flory alpejskiej. Również w wielu miejscowościach poczyniono starania w celu zachowania charakterystycznych krajobrazów, skał, wodospadów i zbiorowisk roślinnych, zwłaszcza torfowisk, zawierających liczne i mało zbadane osobliwości zwierzęce i roślinne, a

nawet budowle na palach z czasów człowieka pierwotnego. Dzisiaj już Szwajcaryja liczy wiele takich mniejszych i większych rezerwacyi, gdzie wzbroniono albo zrywania roślin, albo cały obszar ogłoszono za nietykalny pod każdym względem.

Naturalnie i świat zwierzęcy nie został pominięty. W niektórych kantonach zabroniono bezlitosnego tępienia szkodliwych ptaków, szczególnie rzadkiego już dzisiaj orła skalnego; szkody wyrządzane przez tego wspaniałego drapieżnika mają być wynagradzane przez zarząd danego kantonu lub gminy. Obecnie komisja zajęła się zbadaniem o ile szkodliwy jest dla ogólnego stanu fauny rozpowszechniony w ostatnich czasach handel owadami, zwłaszcza motylami, płazami i gadami i czy należy przedsięwziąć jakie środki zapobiegawcze.

Wreszcie w roku zeszłym urzęduwistniono pomyslnie projekt utworzenia większej rezerwacyi, na wzór amerykańskiego Parku Narodowego w Yellowstone, gdzie świat zwierzęcy i roślinny Alp znalazł możliwość najswobodniejszego i najnaturalniejszego rozwoju. Na ten cel przeznaczono obszar wielkości 22 kil. kw. w kantonie Graubünden, w miejscowości zwanej Pic Quaterval, obejmującej dolinę Cluozza i otoczonej ze wszech stron śnieżnymi szczytami Alp; wyróżnia się ona zupełną dzikością, dziewiczymi lasami, mnóstwem strumieni i niezwykłym bogactwem roślinnym i zwierzęcym. Ta romantycznie dzika miejscowość, ogłoszona za nietykalną, ma stanowić zaczątek większego szwajcarskiego parku narodowego. Ponieważ jednak uskutecznienie tego pięknego zamiaru wymaga znacznych kosztów, komisja w końcu roku zeszłego powołała do życia „Szwajcarski związek ochrony przyrody krajowej“ (Schweizerischer Bund für Naturschutz), do którego może należeć każdy obywatel kraju, wnoszący niewielką składkę 1 franka rocznie. Komitet tego „związku“, składający się z najznakomitszych przyrodników szwajcarskich, rozpoczął swą działalność wydaniem odezwy, rozrzuconej w setkach tysięcy egzemplarzy po całym kraju i dzisiaj, po kilkomiesięcznym istnieniu, związek liczy już z górą 2000 członków, z których wielu jest dożywotnich (składka 20 fran.). Zebrane w taki sposób kapitały mają być przeznaczone na utworzenie i utrzymanie Parku Narodowego i na dalsze cele, związane z szeroko pojętą ochroną przyrody krajowej.

Przyszłość niedaleka pokaże, jak doniosłe znaczenie może mieć dla sprawy powołanie całego społeczeństwa do obrony najidealniejszej części jego własności narodowej.

*Tadeusz Kolodziejczyk.*



# MARMURY KIELECKIE.

Okolice Kielc i Chęciny obfitują w wapienie, należące do kilku formacji geologicznych: dewońskiej, permskiej, tryjasowej i jurajskiej, z których pierwsza jest najstarsza, a ostatnia najmłodsza. Najważniejsze z tych wapieni pod względem praktycznym—dewońskie—tworzą kilka pasm, poczęści wysokich i skalistych, ciągnących się równolegle do siebie z Z. Pn. Z. na W. Pd. W. Pasma te najlepiej widzieć można, jadąc szosą z Chęciny do Kielc. Najdłuższe i najwyższe z nich, a równocześnie najbardziej na południe wysunięte, jest pasmo Chęcińskie, ciągnące się od wsi Miedzianki na zachodzie do Chęciny na wschodzie, gdzie jest ono uwieńczona wspinałkami zwaliskami starożytnego zamku. Nieco dalej od tego pasma ku północy widać drugie, bardzo strome i skaliste pasmo Zelejowskie, które otrzymało swą nazwę od wsi Zelejowej, położonej u północnego podnóża wschodniego końca tego pasma. Jeszcze dalej ku północy ciągnie się mniej wyniosłe i mniej strome od poprzednich, w znacznej części lasem pokryte pasmo, noszące w różnych miejscach różne nazwy: w zachodnim końcu zowie się ono górą Szewką od pobliskiej wsi Szewce; w środku, tam gdzie przecina je szosa—górą Zygmuntofską z powodu, że stamtąd był wzięty materiał na kolumnę króla Zygmunta III w Warszawie;<sup>1)</sup> dalej ku wschodowi, we wsi Bolechowicach—górą Bolechowicką; wschodni zaś koniec tego pasma nosi nazwę góry Jerzmaniec. Za tem pasmem w stronę Kielc ciągnie się długie, wyniosłe, pokryte lasem pasmo, które w miejscowości, zwanej Słowikiem, przecięte jest doliną rzeczki Bobrzycy (w tem miejscu przechodzi szosa i kolej żelazna). Pasma to zwane Posłowskiem i Dymińskim od dwóch długich wsi, ciągnących się u jego południo-

wego podnóża, składa się nie z wapienia, lecz z piaskowca, należącego do najstarszej z występujących w górach Kieleckich formacji—syluryjskiej. Nareszcie z obu stron Kielc, t. j. ku zachodowi i wschodowi przechodzi czwarte pasmo wapienia dewońskiego, na którym występuje kilka pojedynczych wzgórz: na zachodzie wysoka, pokryta lasem i uwieńczona kościołem Karczówka, w samych Kielcach skalista Kadzielnia, obecnie do połowy zrujnowana łomami wapienia, wydobywanymi dla wypalania wapna, na wschodzie zaś góra Wietrznia, również z wielkimi łomami i piecami wapiennymi. Wapień tryjasowy (zwany w geologii muszlowym) występuje na niewielkiej przestrzeni we wsi Morawicy o 2 $\frac{1}{2}$  mile na południe od Kielc, przy szosie do Buska, a dalej na południe aż do wsi Piotrkowic i dworu w Tarnoskale ciągnie się na obszernej przestrzeni jasny, prawie biały wapień jurajski. Wreszcie o 1 $\frac{1}{2}$  mili na północ od Kielc we wsi Kajetanowie występuje na niewielkiej przestrzeni ciemny, prawie czarny wapień, należący do formacji permskiej, która w całych górach Kieleckich znana jest tylko w tem jednym miejscu.

Ponieważ niektóre z opisanych wapieni są ładnie zabarwione i dobrze przyjmują politurę, więc są używane na różne wyroby i w praktyce nazywane są marmurami, jakkolwiek w mineralogii nazwa ta przywiązana jest tylko do krystaliczno-ziarnistej odmiany wapienia, mającej budowę cukru, jak np. znany biały marmur z Carrara we Włoszech.

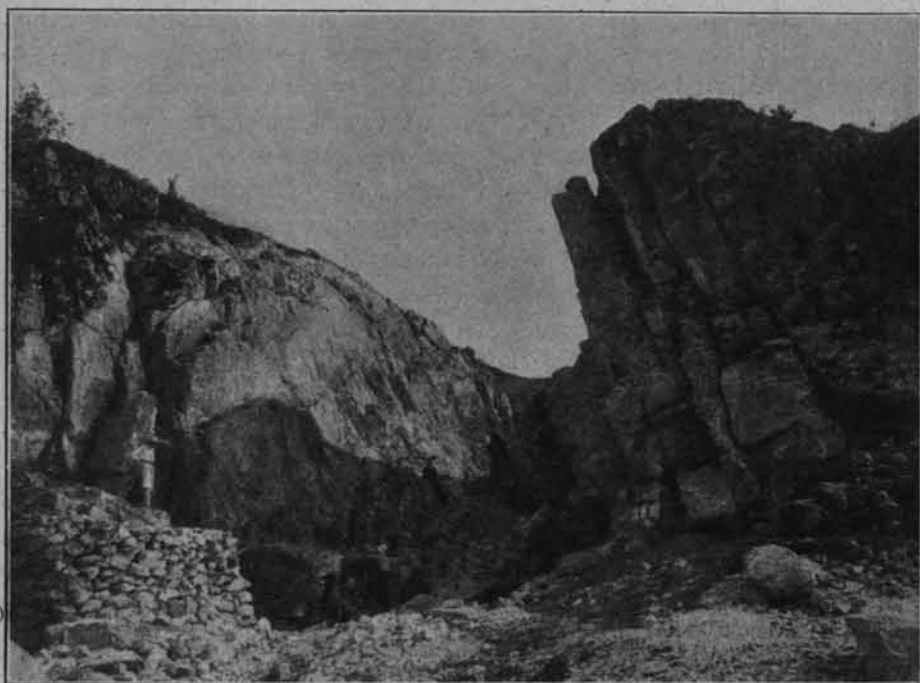
Największe łomy naszych marmurów znajdują się w pasmach Zelejowskim i Szewcko-Bolechowskim. Oba te pasma składają się, jak to już wyżej było wspomniane, z wapienia dewońskiego, barwy przeważnie czekoladowo-szarej, różnych odcieni, zawierającego liczne korale i inne skamieniałości, które po odpolerowaniu wyraźnie zarysowują się na powierzchni marmuru i przyczyniają się do jej urozmaicenia. W górze Zygmuntofskiej oprócz wapienia dewońskiego dobywa się zlepieniec wapienny, złożony z kawałków wapienia dewońskiego, spojonych białem, żółtem lub czerwawem lepiszczem wapiennym.

<sup>1)</sup> Kolumna króla Zygmunta III, wzniesiona, jak wiadomo, 250 lat temu przez syna jego Władysława IV, uległa z biegiem czasu znacznemu uszkodzeniu na powierzchni wskutek wietrzenia marmuru, z którego była zrobiona, i przed kilkunastu laty staraniem grona osób prywatnych była zastąpiona przez nową, trwalszą kolumnę granitową, starą zaś kolumnę złożono na podwórzu gmachu Muzeum Przemysłu i Rolnictwa.



KOPALNIA „SZEWCZE”.

Fot. ze zbiorów Pol. Tow. Krajozn.



KOPALNIA ZELEJOWA (M. RÓŻOWE).

Fot. ze zbiorów Pol. Tow. Krajozn.

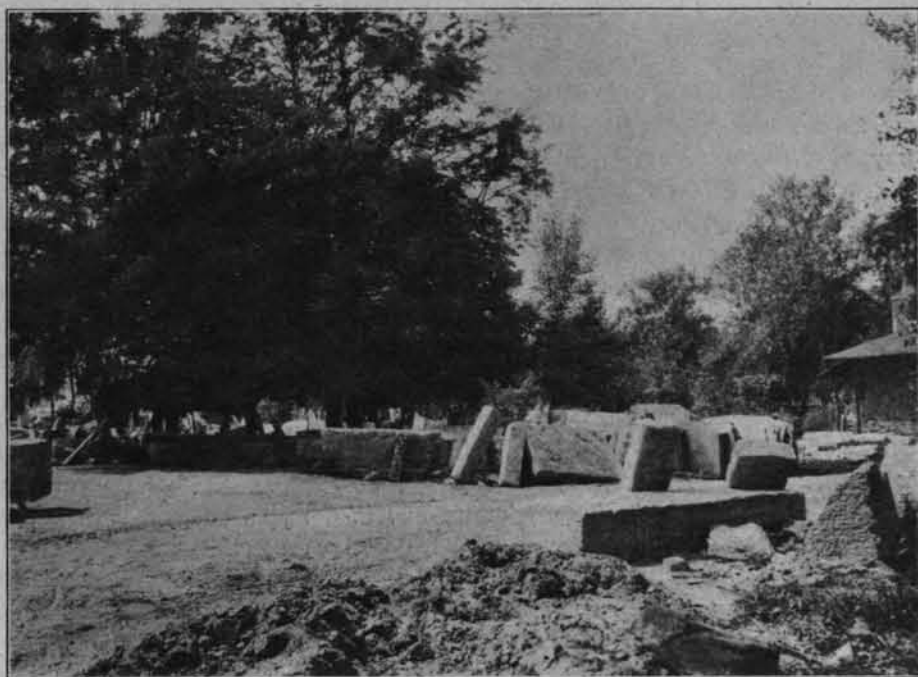
Zlepieniec ten oprócz góry Zygmuntońskiej występuje w wielu innych miejscach, a mianowicie: na górze Zamkowej w Chęcinach, (w przekopie szosy), we wsi Zelejowej, pod Karczówką i w innych i powstał niewątpliwie w skutek rozkruszania się skał wapienia dewońskiego przy wietrzeniu ich, przez nagromadzenie się u stóp tych skał okruchów wapienia, a następnie



KOPALNIA ZYGMUNTÓWKA.

Fot. ze zbiorów Pol. Tow. Krajozn.

spojenie ich lepszczem wapiennem, utworzonym przy udziale wody, rozpuszczającej i potem osadzającej węglan wapnia. Wobec braku wszelkich skamieniałości w zlepieńcu, jego wiek geologiczny nie może być dokładnie określony. Ze względów stratygraficznych, t. j. na zasadzie jego położenia względem innych skał, których wiek jest znany, wypada go odnieść najpraw-



FABRYKA WYROBÓW MARMUROWYCH W KIELCACH.

Fot. ze zbiorów Pol. Tow. Krajozn.

dopodobniej do dolnej części formacji tryjasowej, t. j. do tak zwanej w geologii formacji pstrego piaskowca.

Na odpolerowanej powierzchni zlepieńca widać bardzo wyraźnie zarysy oddzielnych okruchów wapienia, z których jest on zbudowany. Pierwsza kolumna Zygmunta w Warszawie była zrobiona z takiego właśnie zlepieńca, wydobytego w górze Zyguntowskiej.

Oprócz tych dwóch głównych odmian marmuru, t. j. wapienia dewońskiego i zlepieńca, dobywają się tu jeszcze inne, mniej używane odmiany marmuru: ciemny, prawie czarny marmur we wsi Kajetanowie i jasne, piaskowo-żółte marmury w Morawicy i Tarnoskale.

Marmury kieleckie, jakkolwiek pod względem zabarwienia nie należą do najpiękniejszych, odznaczają się tem, że wskutek swojej spistości i jednolitości dają się łatwo piłować na cienkie płyty, dochodzące do  $\frac{1}{4}$  cala grubości i przyjmują piękną politurę.

Założona w Kielcach w 1872 r. fabryka wyrabia z tych marmurów: schody, posadzki, okłady ścian, parapety do okien, kominki, kolumny, balustrady, wazy, ołtarze, mównice, stoły, chrzcielnice, pomniki i drobne przedmioty. Jest to fabryka dość znaczna, ponieważ pracuje w niej stale do 100 ludzi, a 50-konny silnik porusza 7 tartaków i kilka innych maszyn pomocniczych. S. K.



## Sven Hedin w Tybecie.

3)

Nareszcie po trzynastu dniach gorączkowej pracy przygotowania dobiegły do końca. Nastął dzień wielki. Pakunki już stoją gotowe, pozwolenie na przejazd granicy od rządu chińskiego nadeszło — sam paszport ma być dosłany Hedinowi w drodze — część koni i mułów ruszyła już naprzód. Otoczona połową mieszkańców Leh karawana wyrusza w drogę. Konie, które się nieco zastały przy żłobie, rzucają się jak szalone; dwukrotnie skrzynka z osobistymi rzeczami Hedina leci jak piłka w powietrze, aż w końcu trzeba na początek jeszcze jednego, łagodniejszego konia donająć. Na swoim wielkim, jabłkowitym koniu z Jarkandu jedzie Hedin nowe zdobywać świąty.

Koło klasztorów Karu i Dżimre rozdzielają się drogi. Wielka przez Gartok do Lass wzdłuż Indu ciągnąca się droga szła na południowy wschód, ale ta była niestety zamknięta. Na północny wschód od niej, od Indu trzeba było iść wąską, coraz mniej znaczną, coraz trudniejszą drogą, która potem przechodziła w zwykłą ścieżynę, wreszcie ginęła zupełnie. Jak groźny, broniący dostępu do zakłetej krainy wał sterczy potężny grzbiet Karakorum, który trzeba brać szturmem nieomal. I to przejście od dolin do górskich, już, alpejskich wyżyn czuje się aż zanadto dotkliwie. Jeszcze gdzieś zieleń się ostatnie forpoczty pól, ale już ich jest coraz mniej, już cały krajobraz

coraz więcej nabiera szarej, kamiennej barwy, coraz jest dzikszy i posępniejszy. Pomiędzy potężnymi zwałami granitu ścieżka wije się czasem tak wąską nitką, że ludzie muszą podtrzymywać rękoma leżące na grzbietach mułów pakunki, żeby się nie obijały o głazy. Z boku, jak naga i niezdobytą ścianą, stoi Czong-la, od którego zawrotnych wysokości mróz idzie po kościach.

Ciężko i wolno brną konie i muły po zasypanych wiecznie szarym żwirem drożynach, wijących się zygzakiem między olbrzymimi blokami granitu. Liczny tłum donajętych ludzi pomaga im stale, podtrzymując chwiejące się pakunki, przeprowadzając w trudniejszych miejscach konie ostrożnie za uzdy. Ale i ludzie męczą się strasznie. Żeby wejść na te piekielne wysokości, trzeba mieć płuca, jak miechy kowalskie, mocną klatkę piersiową i serce, co nie zawodzi. A i tak od czasu do czasu trzeba przystawać, dać odpocząć koniom, które mocno i szybko oddychają i łapczywie chwytają nozdrzami powietrze. Na dobitkę spotyka się czasem inną, z gór idącą karawanę mułów, objuzonych workami soli lub czemś innym i tylko z największym trudem można się z nią minąć w ciasnocie.

Za sobą, w dole ma się za to widok, jaki chyba ptakom, bujającym w obłokach, przypada w udziale. Wśród zielonych pól dolin połyskują,

jak węże o lusce srebrzystej tysiączne potoki, dalej szeroka dolina Indu, za nią ciemne, wiecznym śniegiem nakryte szczyty gór.

Ale, otóż nareszcie i przełęcz. 5360 metrów nad poziom morza! Zimno tu i ponuro; termometr spada do  $5,2^{\circ}$ , lodowaty wiatr północny pędzi gęste chmury, potem siecze gradem niemilosiernie.

Na wielkim stosie kamieni stoją drążki ofiarne, poobwieszane szarpanymi przez wichry łachmanami; na każdym z nich w tybetańskim języku święte sześć sylab: Om mani padme hum (O! klejnocie w lotosie! Amen); naokół pełno czaszek i rogów, upiększających tak wysoko ku bóstwu wzniesiony ołtarz.

Pomimo dzikiego, pełnego grozy otoczenia ludzie cieszą się jak dzieci, wydają głośne okrzyki, rzucają czapki do góry: tu jest pierwszy szczyt wzięty, pierwsza trudność przełamana. Coprawda spuszczenie się w dół jest niemal, że gorsze. Gruz, małe, większe i olbrzymie ostrokańciste głazy, ciemno, wilgotno i chłodno. Czasem idąca w głąb wprost na złamanie karku droga, zalana w dodatku błotem, które chlupie pod kopytami, więcej jest podobna do porujnowanych schodów, niż do drogi. Ale i to ma swój koniec. U stóp gór czeka na karawanę stary z poprzednich podróży przyjaciel, siwobrody, pomarszczony Hiranman.

Z Drugub, które leży na wysokości 3900 metrów, do Tankse droga wznosi się tylko o 91 metrów, dalej zaś podnosi się już łagodniej, aż do krawędzi tybetańskiej wyżyny, gdzie miesiącami nie spotka się znacniejszych różnic wysokości. Tu też w Tankse nad brzegami jasno-niebieskich, przejrzystych wód strumienia, które się bezgłośnie, jak oliwa toczą w kamiennym łożu, ostatnie drzewa, kilka wierzb, walczących odważnie z mroźnym, gwałtownym podmuchem wichru. I tutaj karawana, której obydwie połowy w Tankse się właśnie złączyły, żegna „cywilizację“. Jak co wieczór, zarżnięto barana, który cały z żołądkiem i kiszki wędruje do kotła; tylko nogi i łeb pieką się na ogniu, a skórę wyprawiają na poczekaniu Ladacy na kołdrę. Mahmud Iza wśród wału pak siedzi jak basza, starszyzna wioskowa i tancerki raczą się „trzaniem“, rodzajem piwa z jęczmienia, gęsta z masłem zmieszana herbata leje się potokami, późno w noc brzmią kobzy i flety.



HIRAMAN.

A na drugi dzień (21 sierpnia) zaczęła się już oprócz zwykłych trudów podróży, praca ściśle naukowa, zbieranie kolekcji mineralogicznej i rysowanie map, praca, która miała bez przerwy trwać dwa lata. W małej zaś wioseczce Pobrang, nowy

już całkiem poważny moment pożegnań karawany ze światem. Odeszli przedewszystkiem towarzyszący jeszcze od Kaszmiru czaprassiprzewodnicy, czy eskorta właściwie. Odszedł idący od Lama-juru dawny przewodnik Hedina, Kahman Khan, odpadły całe roje kulisów i mieszkańców przydrożnych wiosek, które się wciąż przy obozie wieszały, tak, że trudno było wodzowi karawany swoich ludzi od obcych odróżnić. Tu też były ostatnie przed Tybetem dobre pastwiska, tu ostatnia ludzka przed pustynią osada. Na wieczornych z Muhamed Izą naradach, do których i Robert był dopuszczany, jeszcze raz obliczano zapasy. Kukurydza i jęczmień musiały wystarczyć na 68 dni, mąka na 80, ryż przy

oszczędności na 4 do 5 miesięcy. Kupiono 30 baranów i 10 kóz, które miały dostarczać mleka, oraz dwa duże psy do pilnowania obozu nocą. A czy się zdoła z tym całym zapasem do pierwszych obozowisk pasterskich przez kamienną pustynię dotrzeć, to miała przyszłość dopiero pokazać.

Za Pobraniem już czuć było groźny oddech pustyni. Jak okiem zasięgnąć daleko na wschód ciągnęła się jednostajna, łagodnie falista równina; wyniosłości były tu mniejsze, wąwozy płytsze, wody zupełny brak. Powietrze prawdziwie tybetańskie: to suche i znojne, to mroźne, gdy się słońce schowa za chmury i wiatr tumanami piasku zasypuje.

Na drugi dzień rano rozesłała się przed oczyma bezbrzeżna, oślepiająca płaszczyzna, przez noc zasypiana śniegiem. Tam o kilka dni wstecz jeszcze lato w pełnym rozkwicie; tutaj, jeżeli nie zima, to jej pierwsze przynajmniej, groźne przedsmaki. Niektórzy z ludzi, pochodzący z nizin indyjskich, poraz pierwszy widzieli śnieg w swoim życiu; zabrane z Simli psiaki czekały na niego, gniewnie, długo i uporczywie. Jak długi, czarnymi skrętami czołgający się wąż, wlekła się w górę wciąż karawana: najwprzód barany i kozy, za nimi donajęte yaki i muły, później konie i na końcu sam Sven Hedin w otoczeniu Roberta, Manuela i koni, niosących jego osobiste pakunki. Od czasu do czasu grzmiał groźnie głos Mahmud

Izy, który był wszędzie, z nieodstępną fajeczką w zębach, z rękami w kieszeni, niezmordowany i nieubłagany, każdego człowieka i każde zwierzę swoim sokolem okiem oddzielnie widzący.

A droga, choć wydawała się lżejszą, miała przecież swoje chwile, kiedy wszystkie siły trzeba było natężyć. Tak np. łagodnie zdaleka przedstawiający się przesmyk Marsimik-la okazał się w rzeczywistości djabelskim poprostu przejściem. Z początku musiały konie odpoczywać co 5 minut, później co 1½ minuty, w końcu co minutę trzeba było przystawać i co najmniej drugą minutę stać na miejscu, żeby dech w piersi złapać. Śnieg leżał miejscami po pas, z olbrzymich od zachodu i południa ciemniejących gór wlewały się szaro-żółte lub niebieskawe chmury. Na szczycie, na 5591 metrach wysokości znowu okrzyki radości i dumy, które zreszłą w tem mocno rozrzedzonym powietrzu mrą na miejscu bez echa.

A i tak trzeba było złym bóstwom gór złożyć pierwszą ofiarę. Nie doszedłszy do szczytu padł piękny koń sanskarski ze wzdętym brzuchem i zimnemi nozdrzami, z których buchała krew. Wobec daremnych wysiłków, żeby go podnieść, musiał zostać tam i długo jeszcze widziała go karawana, jak czerniał na śnieżnej pościeli. Może przerażony tym widokiem, zerwał się nagle jeden

ne życie w Pobragu wydało mu się miłsze, niż te pustki.

Blady i zimny wstał wreszcie księżyc, w którego światło twardo czerniały ślady kopyt i nóg i tajemnicze ściany górskich łańcuchów. Ale po takim dniu noc jest prawdziwą wybawicielką i końcem nadludzkich trudów. Tu wreszcie w Pamsal było znacznie cieplej i łagodniej, nawet resztki nędznych coprawda traw przypominały opuszczone niedawno lato.

Ale trzeba było iść dalej, wyżej, ciągle wyżej. Na prawo, na wschód o pięć dni drogi leżał przesmyk Lanek-la, który otwierał wrota do środka Tybetu i którym już kilku podróżników angielskich dawniej jeździło. Dla Hedina jednak ta właśnie droga była zamknięta. Toż do tej pory nikt jeszcze z jego karawany nie wiedział, że celem wyprawy jest Tybet! Zatem w góry, na północ, skoro inaczej nie można. Wbrew wszystkim i choćby za cenę życia.

Trzeba przejść przede wszystkim przecinając za Pamsal drogę dopływ Indu Czang-czenmo. Od śniegu, który padał po nocach, rzeka silnie wezbrała i mętne jej spienione wody obryzgiwały z groźnym pluskiem kamienne brzegi. Wynaleziono płytki, 70 centymetrów głębokości mający bród, przez który się wszyscy szczęśliwie przeprawi-

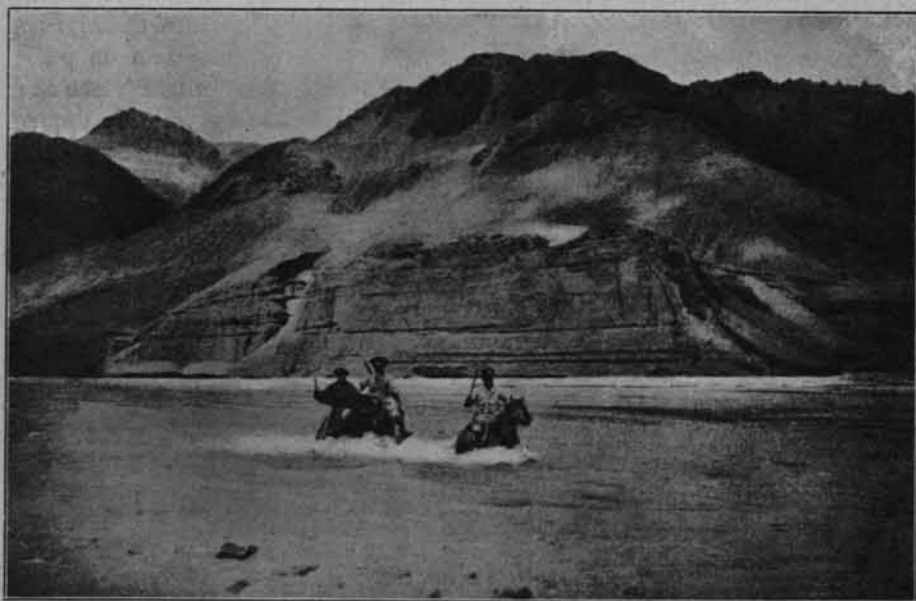
wili a yaki robiły to nawet z widoczną przyjemnością, usiłując przedłużyć pobyt w wodzie. Gorzej było z baranami i kozami, które kilkakrotnie wrzucano za rogi w wodę, póki się zdecydowały przepłynąć na przeciwległy brzeg.

A na tamtym brzegu już nawet ostatnie ślady ludzi zginęły, nawet nikle wydeptane przez zbłąkanych przejezdnych ścieżyny. Czasem się natrafiło na coś, co szczątki muru przypominało — ale któż mógł wiedzieć, ile

setek lat temu żyli ludzie, którzy ten mur budowali.

(d. c. n.)

St. Th.



PRZEPRAWA PRZEZ CZANG-CZENMO.

z psów, wziętych z Pobragu i otaczając wielkim półkolem obóz, nie odwracając łba na nawoływania, umknął z powrotem do domu. Nawet nędz-

# GAWĘDY KRAJOZNAWCZE.

## IX.

Pan Ferruccio Luppis, krytyk i esteta włoski był w Polsce, zwiedził ją od Tatr po puszcze litewskie, wchodził do nędznych chat włosciańskich, przystawał u krzyżów i figur przydrożnych, dziwił się wielkiej ilości jęczących na rozdrożach wiatraków. Po powrocie opisał wrażenia swoje w medyolańskim dzienniku „Il Tempo“ pod tytułem „Paesaggio polacco“, co p. M. Trzebiński w dosłownym tłumaczeniu podał do naszej wiadomości w jednym z dzienników warszawskich. Dowiedzieliśmy się tą drogą, że przyroda polska wydała z siebie „arcydzieło smutku i melancholii“, że kraj nasz, to „uboga równina, która skłania do rozmyślań wolnych od wszelkich pokus rozkoszy i zbytku“, że „niema tu wytwornych ogrodów, nęcących swą lubieżną cienistością, lecz moczary lub piachy, pola nagie a smutne, które zmuszają umysł ludzki do zagłębiania się w najzawilsze sprawy życia“. Artykuł jest zresztą ładny i ciepły, trzymany w tonie dla nas zupełnie życzliwym, niebardzo nawet klepiącym po ramieniu, raczej przez szkła zaciekawionej sympatii oglądający naszą nędzę hyperbo-rejską. Z tem wszystkim jest nie tyle w szczegółach, ile w samym swem ogólnem założeniu z gruntu fałszywy, pisany tak, jak się pisze wrażenia o kraju, który się zna z obrazków.

Jest to Polska, malowana na dekoracye teatralne do sztucznego światła kinkietów, rzutem pędzla mocnym, grubym i nieco sentymentalnym. Przedewszystkiem pan autor nie rozróżnił tego, co jest istotne od tego, co jest przypadkowe. Bo brać nędzę, opuszczenie i brud, za coś od natury ziem polskich nieodłącznego, jest to, powiedzmy bez gniewu, mylić się, wyrokując nieco zbyt pośpiesznie. Coprawda jest to błąd bardzo łatwy do usprawiedliwienia. Kiedy się widzi „pola i ugorry, nie pokrajane w symetryczne zagony“, gdzie jest brak niemal zupełny „białych will, wesoło dookoła rozsianych, jak u stóp naszych Apenin“, gdzie spotyka się ludzi nadmiernie spokojnych, mało uzewnętrzniających swoje wrażenia, jakby podejrzliwie strwożonych, tam — zwłaszcza, kiedy się Włochem jest — łatwo dać się unieść uczuciu może idącego nazbyt daleko smutku. Ziemia, której jest odjęte jej najświętsze prawo — rodzenia, ludzie, którzy nie zadość czynią swym najnaturalniejszym potrzebom łatwego i swobodnego ujawniania swoich wrażeń na zewnątrz, którzy nie śpiewają, nie śmieją się głośno w miejscach publicznych, nie hałasują w napadzie dobrego humoru, których pierwszym zapytaniem jest zawsze „czy wol-

no“ — taka ziemia i tacy ludzie są pełni smutku. Ale to jest smutek nic z przyrodą ziem naszych niemający wspólnego.

Szkoda, że ten spostrzegawca przelotny nie zna zapewne naszego języka, że nie możemy mu dać do przeczytania choćby — Reja. Zobaczyłby, jak to wielkie dziecko, o sangwinicznym temperamentem i nieco zaniedbanem wychowaniu, umie się bawić, jak wszystkimi porami tryska z niego wesołość i zdrowie i jak krzepko tysiącem korzeni związany jest ten człowiek z ziemią, która go wydała. Przeczytalibyśmy mu też i Kochanowskiego, humanistę, bywalca, europejczyka, umysł polewany i szeroki, zarazem typowego szlachcica, siedzącego sobie na nędznych piachach kozienickich, dziś jeszcze ubogich i pustych. I zobaczyłby, jak w cudne popołudnie lipcowe, kiedy ziemia pachnie i przeciąga się, jakby omdlała, kiedy lekkie a gorące dotknięcie wiatru muska i całuje po twarzy, przedstawia się ten „biedny i smutny“ świat, siedząc pod lipą, która

*„swym cichym szeptem sprawić umie snadnie,  
że człowiekowi łacno słodki sen przypadnie“.*

Idąc dalej, zobaczyłby, jak największy z wielkich naszych — Mickiewicz, człowiek, którego życie było nieustającym bojowaniem, który wziął w siebie moc milionów, żeby jej użyć za dźwignię do wyważenia drzwi, co nas niemi zaparto, mógł w chwilach wytchnienia tworzyć obrazy nieporównanej słodyczy, harmonii i ciszy, mógł w rozmodlone a tęskne oczy chłonać cały czar i wdzięk ziemi, co zaprawdę nic z tundrą syberyjską niema wspólnego. A przecież ci ludzie, to kość kości, to krew krwi naszej. Przecież oni mówią tylko to, co my wszyscy, mówić jak oni nie umiając, niemniej od nich głęboko czujemy. Czyżemy więc istotnie tak beznadziejni, smutni, my i ziemia nasza? Czyż naprawdę my jesteśmy jakimś godnym litości narodem paryasów, skazanym na grzebanie się w błocie ziemi, która nic z siebie ponad smutek wydać nie umie?

Ejże panie Włochu, każdy ma swoje ideały i każdy inaczej sobie swój raj wyobraża, a chociaż twój kraj taki piękny, taki jasny, taki słoneczny, przecie my ze swoim nie idziemy do handlu. Bo tyle tylko jest pewnem, że każdy z nich jest inną pięknoscą piękny i że my — równie zresztą, jak wy — tak dalece się ze swego gruntu czujemy wyrosli, że piękno innych ziem możemy nawet na chłodno ocenić rozumem, możemy sobie w niem dla kontrastu na chwilę podobać, ale odczuwać

całą głębią swej duszy możemy tylko swe własne. Innych my światów ludzie jesteśmy—ale nie więcej ponad to.

Ty jesteś synem suchej, zwięzłej i żywej rasy łacińskiej, wstrzemięzliwej w jedzeniu i picciu, choć skłonnej do szukania rozkoszy i sybarytyzmu, o umyśle ruchliwym i giętkim, o zmysłach bardziej wyostrzonych i wrażliwych. Żyjesz w kraju, gdzie światło kładzie się plamą jaskrawą i twardą, gdzie w idealnie czystej atmosferze niemniej twardo rysują się potężne i wzniosłe kontury sylwetek gór. Jesteś—zupełnie jak twoja przyroda—łatwo skłonny do przejść od rozkosznego, lubieżnego omdlenia do namiętne gwałtownych wybuchów, jesteś wskutek swej odrębności i krańcowości bardziej, niż człowiek jakiegokolwiek bądź innej rasy trudny do przystosowania się do obcych sobie warunków, do zrozumienia innej, niż twoja własna kultura.

My przeciwnie—jesteśmy ludzie miękkich konturów. Ziemia nasza rzadko tylko i gdzieśgdzie dźwiga się ku górze szanćem majestatycznych gór, naogół zaś jest równa, zlekka, jak pierś cicho przez sen oddychająca, sfalowana. Jeziora nasze nie biją o kamienisty brzeg, jak wasze morza, wałem groźnym, rozchełstany m grzbietu, ryczącym, jeno się kładą na jego pachnące murawy falą miękką, pieściwą i cichą. Sady pełne są słodkiego, jak uśmiech dziecka, zapachu, a groźne naporów, potężnymi trzonami pni strzelające wzbory, mają w sobie po wejściu w nie, jakąś dziwnie łaskawą dobroć i spokój. I kiedy iść na obsypane kwieciami miedze, kiedy kłosa wyrosłego, jak las zboża, zacząć bić zlekka po twarzy, myśli się, że na tej ziemi zeszło się wszystko, co chce żyć spokojnie, równo i cicho, bez wstrząsających namiętności i bez dochodzących do tragiczmu opadań fal ducha.

W powietrzu, za wyjątkiem dni bardzo rzadkich, wiszą zawsze lekkie mgły i opary, które do reszty zmiękczają łagodne zarysy ziemi i przykrywają jakby przejrzystą zastoną jej oblicze. Przez to jest ona mniej podobna do kutej z marmuru twarzy klasycznej piękności, ale przez to też ma w sobie wdzięk, ciepło i jakiś rozpromieniający ją uśmiech wewnętrzny, którego tamtej zwykle brakuje.

A na tej ziemi siedzą ludzie spokojni, aż do zbytku nawet pogodni i cisi.

Może to być ich siła czy słabość, a w połączeniu z pewną miękkością i brakiem energii ich nie-szczęście, ale przedewszystkiem jest to ich najistotniejsza cecha, odwieczny i lekkiej tylko zmianie uległy rysopis duchowy. Dziś na wierzchu leży gruz, jakim nas kataklizmy dziejowe obsypały, na gruzie, jak zwykle w ruinach, krzewi się nie-

jedno zielsko, ale rdzeń rdzenia duszy polskiej jest bezsprzecznie ten sam, co był dawniej, ważki, zdrowy i tęgi, jak dostały pszeniczny kłos.

A któż jest lepszym, głębszym wyrazem swej ziemi, jeśli nie ludzie, którzy ją zamieszkują. Któż, jeśli nie oni są najistotniejszym, najlogicznym uzupełnieniem krajobrazu, jego kluczem i jego częścią składową. Związek między człowiekiem i podłożem, na którym on wyrósł, jest tak ścisły, tak nierozzerwalny, że nietylko, co jest rzeczą powszechnie uznaną, rasa jest wypadkową swoich przyrodzonych warunków bytu, ale i odwrotnie, choć może w stopniu mniej znacznym, krajobraz każdej krainy ulega zmianie, zależnie od zmiany charakteru zamieszkującej ją rasy.

Może nie było potrzebne zatrzymywać się i rozszerzać tak długo nad pobieżnym, powierzchownym przez to wrażeniem cudzoziemca, na którym nam nic nie zależy i o które nie warto kruszyć kopii. Ale zamiast jego fałszywych i płytkich spostrzeżeń postawić swoje własne, głębiej uzasadnione spostrzeżenia nie byłaby to rzecz małej wagi. Studium nad określeniem istoty i rodzajów krajobrazu polskiego, mogłoby być robotą nietylko wdzięczną i w plon bogatą, ale nawet do głębszego wnikięcia w duszę narodu potrzebną. Do tej pory robili to u nas i robią mistrze pędzla i pióra, artyści, którzy z natury rzeczy muszą i mogą dawać raczej fragmenty, niż całość, którzy na naturę patrzą przez pryzmat nazbyt może wrażliwego temperamentu swojego. Całości, szerokiego tła, jakie rzucił w swoich olśniewających pracach malarstwu niderlandzkiemu lub włoskiemu Taine, nie dał nam nikt jeszcze. I nikt jeszcze w sposób wystarczająco jasny i ścisły nie określił, pod wpływem jakich sił przyrody kształtował się pejzaż polski i jego tysiączne odcienie, jak te same siły wpływały na rozwój duszy narodu i w czym ta dusza do pejzażu jest podobna, jak jest od niego zależna, jak pod różnymi postaciami wyrażają one obiedwie jedne i te same wartości.

Gdyby ta robota była zrobiona, gdyby jej wyniki uległy szerokiemu rozpowszechnieniu i wniknęły w świadomość szerokich warstw, mniej było wśród nas samych dość lekceważącego patrzenia przez ramię na piękno swojego kraju i jego pod tym względem stosunek do innych. I spokojniej, z głębszym w duszy przeświadczeniem moglibyśmy takim litującym się nad nami, jak p. Luppis spostrzegawcom powiedzieć, że jeżeli nawet słońce u nas jest bledsze, to w każdym razie promienie jego świecą dość mocno, żeby dojść do głębi serc naszych.

*Boruta.*

## Nowe książki.

*Dr. Klemens Bąkowski.—Przewodnik po okolicach Krakowa z 2 mapami.—Spółka Wydawn. Polska w Krakowie—1909 r., str. 173, 1 rb.*

Sto siedemdziesiąt trzy strony białego druku, zatem nie powierzchowny przegląd najbliższych okolic miasta, ale raczej ich szczegółowe dzieje i gruntowna ocena mieszczących się w nich zabytków sztuki lub pamiątek. Może w tem jest racya. Dla przeciętnego turysty, rozporządzającego kilkoma godzinami lub w najlepszym razie kilkoma dniami czasu i niewielką skłonnością do głębszego zastanawiania się nad tem, co widzi, wystarczają skromniejsze objętością i aspiracjami ogólne przewodniki po Krakowie. Dla tych zaś, którzy chcą i mogą badać dzieje rozwoju dawnej stolicy, a przynajmniej coś gruntowniejszego w tej materii dowiedzieć się, którzy pamiętają, że okolice Krakowa są daleko ściślej, daleko bardziej organicznie z miastem związane, aniżeli np. okolice Warszawy, dziełko to będzie cennym nabytkiem. W formie przystępnej, acz zupełnie, może nawet trochę nadmiernie poważnej opisane tu są miejscowości nietylko bliższe, ale nawet i dalsze, już po drodzej stronie kordonu leżące (Ojców i Pieskowa Skała). Stan ich obecny—za wyjątkiem dzieł sztuki—uwzględniony nie jest, dodane są natomiast dwie mapy, same zaś miejscowości ugrupowane są według pewnych szlaków i dróg, wychodzących z Krakowa. *T-t.*

□□□□□□□□□□

## Kronika Krajoznawcza.

+ W stowarzyszeniu właścicieli nieruchomości w Warszawie miał pierwszy odczyt p. E. Krzyżanowski o o urządzeniu portu rzecznoego w Warszawie.

Warszawa, leżąca na drodze z południa na północ i ze wschodu na zachód, jest niejako przez swe położenie wskazana jako jeden z ważniejszych ośrodków handlowych w ruchu tranzytowym. Niestety, obecnie odgrywa ona bardzo słabą rolę z powodu braku portu rzecznoego i wszelkiego połączenia Wisły z linią kolei żelaznej: takie przystanie, jak na Solcu lub na Rybakach nie wytrzymują nawet krytyki. Prelegent oblicza, że po urządzeniu portu i stacyi przeładunkowej na kolei dowóz towarów do Warszawy wzrośnie do 30,000,000 pudów, wywóz zaś do 20,000,000 pudów; przeładowanie tej ilości towarów winno dać miastu zysku 250,000 rb. rocznie. Mówca projektuje urządzenie portu rzecznoego na byłej Wilczej Wyspie, mającej rozległości 3 włóki, u brzegu praskiego położonej, natomiast na warszawskim brzegu winna przechodzić linia kolejowa, któraby również w połączeniu z elewatorami i windami służyła do przeładowywania towarów z wagonów na statki.

+ W Pradze czeskiej wyszła broszura p. t.: „Cechowe w Kralovstvi Polskem”. Z broszury tej okazuje się, iż najliczniejsze kolonie czeskie rozsiadły się w gub. piotrkowskiej. W Warszawie jest Czechów

stosunkowo niedużo, około 500 osób. Nieco więcej jest ich w Żyrardowie. Najstarszą kolonią czeską w kraju jest Zelów pod Łodzią, gdzie Czesi osiedli jeszcze w r. 1802-im. Stopniowo Czesi skupili grunta zarówno w tej wsi, jako też w sąsiednich: Zelówku, Październicach, Józefowie, Ignacowie, Weronicy, Faustynowie, Kucowie, Czeskim lesie i innych. Obecnie w okolicach Zelowa zamieszkuje około 6,000 Czechów, gdy Polaków jest tam około 1,000, Żydów 1,800, Niemców 100. W r. 1823-im Czesi zelowscy, wyznania ewangelickiego, zbudowali kościół, na którego frontonie umieszczony jest napis: „Pomnik wspaniałomyślności Aleksandra I-go, Cesarza wszechrosyjskiego, Króla Polskiego”. W Łodzi zamieszkuje z górą 1,500 Czechów, którym, jak zaznaczono w broszurze, „bardzo dobrze się wiedzie”. Czesi przeważnie zajmują stanowiska dyrektorów fabryk, inżynierów, majstrów i t. p. W Łodzi częściowo zniemczyli się, lecz w innych miejscowościach kraju utrzymali swą narodowość, z wyjątkiem Kamienicy Polskiej pod Częstochową, gdzie ulegli polonizacji.

◆ ◆ ◆

+ Ostatni pobyt w Krakowie marszałka galicyjskiego, Stanisława hr. Badeniego, związany był między innymi także ze sprawą restauracyi Zamku królewskiego na Wawelu. Na odbytem równocześnie posiedzeniu komitetu restauracyi ustalili i zatwierdzili dalszy program robót, które rozpoczęte zostaną i przeprowadzone będą po powrocie kierującego architekta p. Zygmunta Hendla w temple żywsem. Zgodnie z planem ogólnym, jaki sobie zakreślił kierownik restauracyi, pierwszoplanowem zadaniem jest ustalenie ogólnych zarysów i ogólnego zewnętrznego konturu dawnej rezydencyi królów polskich. Do tego też zamierzały dotychczas podjęte prace i usiłowania. Już dziś w ogólnym rysie sylwetka Zamku zaczyna występować coraz plastyczniej.

Dopiero w drugiej połowie przedsięwzięcia przystąpi kierownictwo restauracyi do szczegółowego rekonstruowania wnętrza Zamku i to zadanie przedstawia się jako najtrudniejsze do rozwiązania.

Wobec zupełnego niemal zatarcia śladów architektonicznych, a nadto braku wskazówek w źródłach i dokumentach, rekonstrukcyja ta będzie musiała wkroczyć w dziedzinę pomysłów indywidualnych architektów polskich, musi zasilić się ich fantazyą. W tym względzie kierownictwo budowy zamierza osiągnąć cel przez rozpisanie w swoim czasie konkursu, do którego staną niewątpliwie najwybitniejsi przedstawiciele tej gałęzi sztuki. Nastąpi to jednak nie wcześniej, niż po zupełnem odrestaurowaniu zewnętrznej sylwetki Zamku królewskiego i przylegających doń dobudowanych części architektonicznych.

+ W Zakopanem ma powstać nowa instytucyja pod nazwą: Towarzystwo popierania gór polskich, w celu rozwinięcia opieki nad ludnością gór i podniesienia jej moralnego, intelektualnego i materialnego. Oddziały Towarzystwa będą otwierane i w innych miejscowościach. Towarzystwo popierać będzie oświatę, zachęcać do tworzenia związków, rozwijać ruch spółdzielczy, zwalczać alkoholizm i t. d. Fundusze Towa-

rzystwa tworzyć się mają ze składek członków (zwyczajni 5 kor. rocznie, rzeczywisci 100 koron, protektorzy 2,000 kor. jednorazowo). Na Podhalu—jak zaznacza w memoryale, dołączonym do projektu ustawy, Towarzystwo—może powstać z czasem wielkie życie i ruch wielki. Do tego trzeba przygotować ludność miejscową, trzeba ją podnosić i kształcić. Z drugiej strony cywilizacja, wciskająca się na Podhale, przynosi i swą stronę odwrotną, demoralizację, przed czem ludność Tatr chronić należy.



+ Dnia 12 b. m. odbyła się w Waszyngtonie uroczystość odsłonięcia pomników Tadeusza Kościuszki i Kazimierza Pułaskiego; pierwszy z nich wystawiony został przez rząd Stanów Zjednoczonych, zaś drugi—staraniem Związku narodowego polskiego w Ameryce i ofiarowany narodowi amerykańskiemu.

Najpierw odsłonięto pomnik Pułaskiego, przyczem przemawiali: biskup sufragan chicagoski, ks. Rhode, prezes Banku polskiego w Chicago p. Jan Smulski i prezydent Stanów Zjednoczonych Taft, który poświęcił obu wodzom polskim gorące wyrazy wdzięczności, porównyując ich z Lafayettem i Rochambeau. „Wobec zasług tych—mówił między innymi,—wskazane było, aby Ameryka wzniosła trwałe znak wdzięczności dla bohaterów, którzy w godzinie niebezpieczeństwa pośpieszyli jej z pomocą”. Przechodząc dalej do czasów dzisiejszych, mówił: „Gdyby Pułaski i Kościuszko mogli wiedzieć, jakie trzy miliony polskich obywateli zajmują zaszczytne stanowisko wśród ludności Stanów Zjednoczonych, odczuliby, że czyni ich nie poszły na marne”. W końcu przemawiał p. Franciszek Pułaski, z Królestwa Polskiego, jako przedstawiciel rodziny Pułaskich.

Od pomnika Pułaskiego udano się do pomnika Tadeusza Kościuszki. Tu przemawiali: cenzor związku narodowego polskiego p. Antoni Szreiber, prezes tej organizacji p. Stęczyński, i minister wojny Stanów Zjednoczonych Dickinson.

Poświęcenia pomników dokonał biskup waszyngtoński sekty unitaryan. Uroczystość miała charakter urzędowy. Odsłonięcie pomników poprzedziła parada wojskowa armii amerykańskiej oraz gwardyi narodowej stanu Kolumbia. W chwili odsłonięcia rozległy się salwy działowe. Miasto upiększono flagami.

Nadeszło mnóstwo telegramów ze wszystkich stron świata. Ex-prezydent Roosevelt nadesłał z Berlina na

ręce polskiego związku narodowego telegram tej treści:

„Przyjmijcie panowie me życzenia dla wszystkich Amerykanów polskiego urodzenia czy pochodzenia, z okazji odsłonięcia pomników obu wielkich bohaterów, Kościuszki i Pułaskiego, których imiona na zawsze zapisane są na honorowej karcie historii amerykańskiej”.

Po uroczystości nastąpiło otwarcie polskiego kongresu narodowego, na który przybyło około 1.000 delegatów ze wszystkich części Stanów Zjednoczonych.



+ Dr. A. Jentzsch w pracy swej p. t. „Beziehungen zwischen Geologie und Urgeschichte im deutschen Osten”, podając wskazówki do badań archeologicznych, kładzie nacisk na konieczność ścisłego notowania nie tylko szczegółów geograficznych, lecz i wieku geologicznego tych pokładów, wśród których zwaliska przedhistoryczne zostały wykryte, ponieważ szczegóły geologiczne z jednej strony rzucić mogą światło na wiek zwalisk, a z drugiej strony odwrotnie,—charakter znalezisk dać może wskazówki co do ogólnych warunków (klimatycznych, florystycznych i faunistycznych), w jakich dane utwory geologiczne powstały. Archeologia i geologia wzajemnie wspierać się winny. Jako przykład podaje autor stosunek wydm do zagrzebanych pod nimi zabytków kultury. Znaleziska te dają nam miarę czasu, który wpłynął na przesunięcie się wydm. Stwierdzić to można na mierzajach przy ujściu Wisły i wzdłuż starych dolin rzecznych, jak np. w Wielkopolsce pomiędzy Wartą a Notecią, gdzie występują olbrzymie obszary wydmowe.

Dużo wskazówek dać mogą w tym względzie i torfowiska, wśród których kryje się mnóstwo resztek dawnej kultury, jak pale budowli nawodnych, cementarzysta; grubość narosłego torfu daje możność obliczenia, w przybliżeniu, ich względnego wieku.

Studia zaś nad florą torfowisk rzucić mogą światło na stosunki klimatyczne z czasu, odpowiadającego pewnym etapom kultury przedhistorycznej.

Poza tem archeologia ma z geologią niektóre wspólne pola badań—jak np. wymieranie niedźwiedzi jaskiniowych, losi, żubrów, kotewki (Trapa natans) i cisu lub ukazanie się w wodach północnej Polski małża Dreissena polymorfa.



**TREŚĆ:** „ś. p. Eliza Orzeszkowa” (z portretem); *Al. Janowski* — „W Otwocku” — dok. (z 3 ilustr.); *Adam Jaczynowski* — „Żmudź i Żmudzini” (z 2 ilustr.); *Tadeusz Kołodziejczyk* — „Ochrona osobliwości przyrody w Szwajcaryi”; *S. K.* — „Marmury Kieleckie” (z 4 ilustr.); *St. Th.* — „Sven Hedin w Tybecie” — c. d. (z 2 ilustr.); *Boruta* — „Gawędy Krajoznawcze” — IX. Nowe książki. Kronika Krajoznawcza.

Winiętę tytułową i ozdoby w tekście rysował Mikołaj Wisznicki—Odbito w tłoczni Piotra Laskauera i 8-ki—Składał i łałał Stefan Turobojski—Odbijał na maszynie Waleryan Szlicht—Klisze wykonano w zakładzie B. Wierzbickiego i 8-ki—Papier krajowy z fabryki A. Moesa w Pilicy.

Redaktor i Wydawca **Kazimierz Kulwiec**.